

RODZINA

PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 4

Czwartek, dnia 28-go stycznia

Rok 1915

NA WAKACYACH.

(Dokończenie.)

Falami powietrza niesione, brzmiały słowa z Halki tak prosię, a tak rzewne: „Gdyby z rannem słonkiem, wleciec mi skowronkiem, gdyby jaskółeczką, bujać mi po niebie, gdyby rybką w rzece, płynąć tu do ciebie, Jasiu mój, do ciebie.”

Powoli, powoli, pierś coraz wyżej się podnosiła, głos coraz więcej potęgi nabierał. Uniesiona, rozmarzona, o całym świecie zapomniała, a gdy przyszło do słów ostatnich: „Pan mój wróci, Jasio mój!” — z taką siłą i z tak namiętnym uczuciem rzuciła w niebiosy tę nadzieję, po skardze serca zbolatego, że płaszki zdziwione umilkły, a cała natura zdawała się wsluchiwać w ten śpiew tak czarowny.

Wróciła do pokoju. Starzec zdawał się usypiać. Fajka zgąsta leżała na ziemi, głowa zwisała mu na piersi, ręce trzymał złożone jak do modlitwy. Podniósł na nią oczy łez pełne i szepnął głosem dziwne zmienionym:

— Jak ty cudownie śpiewasz dziecię! Tak chyba Mospaneńku aniołowie w niebie śpiewają! Czemu kryłaś się z tem przedemną?

Basia drżąc, struchlała, nie wiedziała na razie co odpowiedzieć:

— Myślałem, że siryj dobrodziej muzyki nie lubi — wyjąkała.

— Taką jak twój głos lubię. Ty dziecię śpiewasz łzami, Mospaneńku, śpiewasz sercem całym! Do warunków testamentu dodaje i ten: że sprowadzisz sobie fortepian i będziesz mi codzień śpiewała. Słyszysz ciebie, zdawało mi się, że wróciłem do lat dziecięcych, że widzę nachyloną nad mojem łóżeczkiem postać matki i słyszę jej słodki głos, nieuczony, a tak rzewny, którym kołta moje największe boleści. O! tak mnie już nikt nie kochał! Mospaneńku, Nikt, nigdy!

— Będziesz ojczulku kochanym! Inaczej, ale nie mniej czule, przez swoją córkę przybraną — zawołała Basia radośnie.

Jakaś część przynajmniej ciężaru spadła jej z serca, skoro jej głos nie rzucił staruszka i nie pozbawił jej tegoż sympatyj.

Wcześniej niż zwykle rozeszli się tego wieczora. Do dnia Basia wybierała się po matkę do Warszawy.

I znowu miało się ku wieczorowi. Drzwi od ogrodu były szeroko otwarte, powietrze załatywało

wonne i ciepłe. Wszystko jednak jesień zapowiadało. Zboże w serty złożone, ściert tylko suchą po sobie zostawiło, liści żółkłych coraz więcej ze ścieżek w ogrodzie zmiatano, gruszki za to i śliwki na drzewach dojrzewały i jabłka czerwone polyskiwały.

Z panem Kaspsem ratunku nie było, i on sam sobie rady dać nie umiał.

Nikt mu w niczem nie mógł dogodzić, nie go nie cieszyło, a na każdym miejscu, i o każdej porze Basi mu brakowało. Na dobitkę ów spodziewany dependent umarł w drodze, nikogo nie miał pod ręką, koby umiał po francusku, a listów cała paka przyszła z Brukseli; Basi zaś jak nie było, tak nie było.

— Tak to z kobietami było i będzie, Mospaneńku — mruzczał staruszek, coraz gęstszy chmurami dymu się otaczając. — Co z oczu, to i z serca! Myślałem, że Basia wyjątkiem w regule. Gdzietam! I ona po jednych pieniądzech! Cztery tygodnie mijają, jak odejechała. Jużbym, na ślimaku jadąc, dojechał i powrócił, a nie dopiero tym smakiem ognistym! Przecie Warszawa nie za morzami, nie na końcu świata! Ot, zwyczajnie białogłowa, Mospaneńku! Trynda się po mieście, a ty stary grzybie siedź samotny, jak sowa w gołębniku! Albo jej to w głowie!

Wtem wśród ciszy wieczornej, od drogi, z pod lipy, popłynęły rzewne tony:

„Gdyby z rannem słonkiem,
Wleciec mi skowronkiem.”

I znowu fajka wypadła z drżącej ręki starca. Tym razem jednak nie zapadł w zadumę o latach ubiegłych, tylko zerwał się na równe nogi, i z radośnym okrzykiem powitania wybiegł na ganek.

Za chwilę u nóg jego leżała Basia, z płaczem go po rękach i kolanach catując. Za wiele było tego wzruszenia na wątłe siły starca. Zaledwie zdołał wejść nazad do pokoju oparty na ramieniu córki przybranej, i tu upadł prawie omdlejący na sofę.

Gdy cokolwiek ochłonął, rzekł głaszcząc Basię po cudownych, kruczyczych warkoczach.

— Dzięki Bogu, żeś wróciła, dziecię drogie. O matom na śmierć, Mospaneńku, nie zażęknął za tobą. Dni moje policzone, a chciałbym jeszcze przed śmiercią choć trochę użyć tego szczęścia, któregoś mi dała zakosztować, pierwszy raz w mojem życiu.

— Da Bóg, będziesz nam żył jeszcze w długie lata, najdroższy stryjasku. Będzie nas teraz więcej do kochania i pielęgnowania ciebie

Basia mówiła z przejęciem, ale jakby i z pewną trwogą jednocześnie.

— A gdzie pani bratowa? — spytał staruszek po chwili. — Przecie sama nie wróciłaś, Mospaneńku.

— Jest, jest i mama! — skoczyła jak sarneczka na ganek, wprowadzając panią Wolińską, drżącą i bladą jak ściana.

Pan Kasper powstał z kanapy, a całując rękę bratowej rzekł:

— Dawnośmy się, pani siostrze, nie widzieli, Mospaneńku. Wiele względem ciebie zawiniłem. Dopiero mi to serdeczne dziecko oczy otworzyło. No, ale będzie odtąd mojem staraniem nagrodzić ci miłość i poszanowaniem, com wprzód zaniedbał. Racz się pani siostra rozgościć jak u siebie.

Wskazał jej miejsce obok siebie na kanapie.

— A teraz opowiadaj, Basiu, gdzieś się tak Mospaneńku zawieruszyła?

— Ach, kochany stryjasku! Anibyś uwierzył, ile miałam w tym czasie kłopotów! Dowiedziałam się przypadkiem, że zamówiony przez ciebie dependent umarł w drodze. Postarałam się więc o innego. Prawnik ukończony, i dependował już u jednego z naszych pierwszych adwokatów. Ma zewsząd świadectwa najchlubniejsze, i po francusku umie expedytę.

— Pal cię sześć! Cudo, nie dziewczyna. Nawet o dependenta potrafiła mi się wystarać.

Zwrócił się do bratowej; ta jednak milczała zafasowana, i dotąd jakoś przyjąć do siebie nie mogła czy z trudu, czy ze wzruszenia.

— Ale kochany stryjasku, takiego feniksa pomiędzy dependentami nie łatwo znaleźć było. Abyśmy go więc już nigdy nie stracili, musiałam... musiałam..

— Obiecać mu większą pensję zapewne, Mospaneńku? — wpadł jej w słowo pan Kasper.

— Ej, gdzie tam stryjasku! Jeszcze gorzej! Musiałam go wziąć... a raczej dać mu siebie za żonę.

Staruszek osłupiał.

— Potem wiem, jak stryjasek lubi spokój — mówiła Basia dalej, coraz więcej pomięszana. — Uwinełam się prędko, abyś nie miał na głowie wesela i gości od tegoż nieodłączonych. Wszystko już szczęśliwie załatwione. Będiesz teraz miał przy sobie stryjasku o jedną więcej osobę, która potrafi cię na równi ze mną kochać i najtroskliwszymi staraniami otoczyć.

— Ha! Cóż mam robić, Mospaneńku. Jeżeli nie chcę znowu sam jak palec pozostać, muszę przyjąć do domu tego jegomościa z potrójnym tytułem, pal go sześć! mojego sekretarza, in spe sukcesora, no, i męża asińdzki. Idźże po niego, idź, bo myślę, iż i on musi być gdzieś pod ręką niedaleko.

Basia rzuciła okiem i skinęła głową matce przybranej, aby jej dodać odwagi, i nazad zbiegła pędem do ogrodu.

Blada i drżąca siedziała niema i nieruchoma pani Wolińska, nie śmiejąc oczu podnieść do góry. Pan Kasper zaś wydychał takie kłęby dymu z fajki, że się niemi niby chmurą otoczył.

Za chwilę wróciła nieposrzeżenie, ciągnąc męża za sobą. Weszli innymi drzwiami tak cicho, że już oboje u nóg starca klęczeli, a on ich spostrzegł dopiero, rozgoniwszy chustką dymu obłoki.

— Jaś, Mospaneńku! — krzyknął staruszek. — A to co za komedia, Basiu?

— Komedia skończona, jeżeli tak się podoba nazwać to, co zaszło, stryjaskowi dobrodziejowi. Teraz zaś widzisz przed sobą rzeczywistość, w osobie twojego najprzywiązanego siostrzeńca, a jednocześnie mojego męża najdroższego.

— Więc ty nie jesteś Basią, córką nieboszczyka dyrektora muzyki, Mospaneńku? — spytał staruszek z wielkiego zdziwienia, nie mogąc się nawet na gniew zdobyć.

— Jestem niezaprzeczenie córką pana Wolińskiego, ale i Barberyną w tejże samej osobie. Tak po włosku brzmi nasza Barbara. Nie chciałam, chroń Boże, namawiać Jasia do nieposłuszeństwa, i niewdzięczności, dla jego największego dobrodziejstwa. Z drugiej strony zaś byłam najmocniej przekonana, że z nikim nie będzie tyle co ze mną szczęśliwy, bo nikt go tak szczerze pokochać nie potrafi. Spróbowałam więc, czy mi się nie uda zwalczyć przesądu, zakorzenionego w sercu drogiego stryjaska co do naszej płci wogóle, a w szczególności co do panien Obieżyświat, jednym słowem komedianek, jak nas biedne artystki zwykle nazywałeś. Jakikolwiek wyrok spadnie z ust twoich na nasze głowy, celu dopięłam, i przekonałam stryjaskę drogiego, że chociaż się jest kobietą i śpiewaczką w teatrze, można zostać uczciwą dziewczyną, mieć dobre serce, a nawet... nawet... i trochę oleju w głowie posiadać! Mianowicie: umieć fajki nakładać, grać w szachy, i w nagłej potrzebie dokumenta adwokackie nie źle przepisywać. Jakże będzie z nami, stryjasku? Czyż nie przebaczysz twojej Basi, twojemu wiernemu famulusowi?

Podniosła na staruszkę oczy łez pełne. Z uczuciem córki najprzywiązanej ujęła go za rękę, okrywając ją serdecznymi pocałunkami. Dziwo! Nie odebrał jej Basi, chociaż wiedział, że trzyma ją w swoich dłoniach komediantką.

— I jeszcze jedno pozwól stryjasku przytoczyć na moje uniewinnienie, zanim wyrok wydasz — kończyła Basia rzewnym głosem. — Nie próżność, nie chęć błyszczenia i gonięcia za sławą, tak często zwodniczą, popchnęły mnie na deski teatralne. Zmusiły mnie do tego przykre domowe stosunki. Po matce Włoszce wzięłam w spuściznę oczy i włosy czarne, głos, jak ludzie utrzymują, piękny. Dzieckiem mnie odumarała, nie mogąc, mimo miłości, która ją otaczała, żyć bez owego kraju cudownego, gdzie jak wiesz mówią:

„Cyryna dojrzewa,

Pomarańcz blask, majowe złoci drzewa.”

Język jej jednak brzmiał dalej w mojej duszy, niby melodia anielska, niby struny nawiązane w sercu dziecka, ręką matki umierającej. Ojciec mój nie tylko muzyk znakomity, lecz i człowiek wszechstronnie wykształcony, rozwijał powoli tak wrodzone talenty, jak i umysł mój młodociany. Inne nauki uważałam jako obowiązek; muzykę zaś jako nagrodę i wypoczynek po pracy. Prócz artystów, z którymi ojciec musiał jako dyrektor obcować, z nikim nie żyliśmy, i nikt u nas nie bywał.

Jeden z Włochów, śpiewak znakomity, rodem z Bolonii, który przez kilka sezonów do Warszawy zjeżdżał, podsłuchiwał kilka razy śpiew mój i był nim zachwycony. Namawiał ojca, żeby mnie zawiózł do Włoch, gdzie ogromne powodzenie mi obiecywał. Ojciec z oburzeniem przyjął z razu tę propozycję. Przyszła atoli na mojego biednego ojca ciężka choroba. Wskutek zbyt długiego natężenia oczu zaczął wzrok tracić... wreszcie ociemniał zupełnie. Przypominały mi się słowa pana Bacciniego, że mogłabym zrobić karierę we Włoszech, a przytem zapamiętałam opowiadanie tegoż o sławnym lekarzu Mattei, w okolicy Bolonii, który cudownie, na oczy szczególnie, ma leczyć.

Napisałam list do pocziwego naszego przyjaciela, i oto na jego gołosłowną rekomendację dostałam zaproszenie do Bolonii jako śpiewaczka opery.

Silną miłością dla ojca i chęcią gorącą dopomożenia mu w nieszczęściu, pokonałam wszelkie trudności. Pamięć miałam doskonałą, nuty czytałam jak książkę drukowaną, a język włoski umiałam jak mój własny.

Wkrótce sława moja była ustalona.

Bóg jednak inaczej postanowił. Ojciec wzroku już nie odzyskał, a ta zgryzota koniec jego przyspieszyła. Nie mogłam przecież porzucać teatru, gdyż dłuższa słabość, pogrzeb ojca i złe zdrowie matki biednej wyczerpało nasze fundusze.

Jak moja matka rodzona bez Włoch żyć nie mogła, tak samo druga, sercem za matkę uznana, za Polską i za synem na śmierć tęskniła. Postarałam się więc o zaangażowanie do Warszawy. Tu poznałam mojego Jasia, a pierwszy raz w życiu szczerze pokochawszy, postanowiłam bez wahania zamienić blaski zawodnicze na ciche życie domowe, a wieńce sławy, na jeden kwiat cudowny, który mi miłość podawała. Wszystko, wraz z sercem nieskażonem, złożyłam u stóp mojego męża i pana.

Oto moja historia, drogi stryjaszku. Reputacja moja została nietkniętą; miałam zawsze u boku Anioła Stroża, cień zgasłej przedwcześnie matki. Mogłam więc śmiało oddać rękę bez plamy uczciwemu człowiekowi, gdyż da Bóg, w niczem nadziei jego nie zawiodę.

Staruszek zwrócił się ku bratowej.

— Pal mię sześć! Tak mi się jakoś głupio robi koło serca, żem z kretesem, Mospaneńku, języka w gębie zapomniał! Wiele, wiele zawiniłem! Jak zółw, jak ślimak, zamknąłem się w własnej skorupie, dopiero ta walna dziewczyna oczy mi otworzyła. Jak już mówiłem pani siostrze, chcę wszystko nagrodzić. No, wstańcie dzieci, wstańcie! Skoroś mościapanno raz potrafiła opętać mnie starego, i stałaś mi się niezbędną, toć już zostaniesz w tym domu, jak i w tem starem sercu, które przed śmiercią rozgrzałaś, i kochać coś więcej niż swoje ja nauczyłaś, Mospaneńku! Tobie, Jasiu, muszę również przebaczyć. Dziwić się Mospaneńku, młodemu, kiedy taki stary, jak ja wyga, dał się za nos wodzić, koło palca owinać, na dudka wystrychnąć, i o zgrozo! codzień wpuszczał tylnymi drzwiami do swojej kancelaryi, do swojego sanctuarium, pal mię sześć! marmozelę z teatru! A więc, Basiu, czy Barberino, Mospaneńku, rozgość się asińdźka, jak u siebie; a ty, panie Janie, Mospaneńku, od jutra weź się do wszystkich, czekających na ciebie zaległości. A rano i wieczór dziękuj Bogu, Mospaneńku, żeś miał co prawda więcej szczęścia, niż rozumu, i żeś znalazł brylant, tam gdzie inni... pal mię sześć, jeśli kłamię, nieszczęście i hańbę najczęściej znajdowali. Dosyć jednak, Mospaneńku, tych scen rozczulających! Słyszę głos Macieja gderający, że mu się spala kurczęta, i grzybek zapadnie cytrynowy, jak nieprzymierzając Mospaneńku, on sam zgarbaciał na starość. Służę pani siostrze do kołacy. Tam opowiem szczegółowo jak to mnie wykierowała panna Barbara, Mospaneńku, i na co użyła czterotygodniowych wakacyi.

Nie ustawajmy w pracy.

Żyjemy pod wrażeniem i grozą wojny. Umysły, zaprzątnięte troską o przyszłość, nerwy w ustawicznym naprężeniu. Cóż dziwnego, że niejedna niwa pracy leży odłogiem, że zaniechano dokończenia budowli, rozpoczętych dawniej z niemałym nakładem czasu i trudu.

Wojna, jak orkan, niszczy wszystko, nie warto zatem mówić: „nie ustawajmy w pracy społecznej”. Każdy z sobą ma dosyć kłopotu, by zapewnić sobie i swoim najbliższym byt materialny i ratować choć samo życie.

Takie głosy były może usprawiedliwione w pierwszych czasach powszechnego popłochu. — Obecnie, choć huragan wojenny z niesłabnącą szaleje siłą, trzeba nam wracać do zaniechanych chwilowo placówek i pełnić dalej swój obowiązek.

Ci tam na polu walki oddają życie za inne ukształtowanie się losów narodu; my w domu pozostali tem bardziej jesteśmy obowiązani spełniać swe obowiązki względem narodu.

Prawda, że nasza Polska płaci, jak dotąd, w łwiej części kosztą obecnej wojny światowej. Groza zniszczenia w Królestwie i Galicyi jest tak wielką, iż wnikanie w szczegóły tego spustoszenia wojennego mogłoby jednostki o gorętszem sercu do obłędnej rozpaczki doprowadzić. Lecz nam nie wolno oddawać się rozpaczki. My zwłaszcza, tu w tym zakątku ziem polskich, nie dotkniętych dotychczas krwawą stopą wojny, musimy wyteżać siły ducha, czujnie stać na posterunku, aby swego czasu mózdz spieszyć z pomocą tam, gdzie jej najwięcej będzie potrzeba. Wielkopolska, zwana tak często Beocyą i krainą samolubów, okaże się, gdy nadejdzie pora, tem, czem nie przestała być, dzielnicą o duszy naprawdę polskiej.

Tymczasem, nim ta chwila nadejdzie, pracujmy dalej nad uzupełnieniem i dokończeniem tego, co przed wojną rozpoczęto. Wróćmy do zaniechanych chwilowo posterunków na polu pracy oświatowej, kulturalnej, ekonomicznej, o ile warunki na to pozwalają.

Nasza praca na polu odrodzenia narodowego pod hasłem wstrzemięźliwości, rozwijała się w ostatnich latach, pomyślnie. To jednakże, cośmy dotychczas zdziałali, nie jest jeszcze w społeczeństwie do tego stopnia utrwalone, abyśmy nie potrzebowali się obawiać, że wojna obecnie szalejąca nie zniweczy owoców pracy dotychczasowej. — Owszem, dzieje walki z alkoholizmem zarówno u nas, jako też w innych krajach, pouczają nas o tej prawdzie, że na tem polu pracy nie wolno robić dłuższych przerw, inaczej owoce naszych wysiłków zostaną w niwecz obrócone.

Jeżeli zatem po wojnie nie mamy zaczynać wszystkiego od początku, to nie zakładajmy teraz rąk bezczynnie.

Prawda, że praca w naszych organizacjach abstynenckich obecnie bardzo jest utrudniona. Część najlepszych naszych sił, powołano pod broń, urządzanie regularnych zebrań poszczególnych Towarzystw z Zarządem głównym częściowo przerywana, działalność składnicy abstynenckiej połowiczna, prawda to wszystko. Lecz mimo to, trzeba nam pracować tak, jak w danych warunkach jest możliwem.

Jeszcze nigdy hasła przeciwalkoholowe nie odzywały się tak donośnym echem, jak w wojnie obecnej.

Oto byliśmy świadkami jak cała armia niemiecka żyła, — przynajmniej przez pierwsze dwa miesiące wojny — pod znakiem zupełnej wstrzemięźliwości od napojów alkoholowych.

Rosya woli stracić półtora przeszło miliarda marek dochodu z monopolu wódczanego, byle zapewnić trzeźwość wojska i narodu w chwili dziejowego przełomu.

Nawet ów największy producent alkoholu w świecie, Francya, przychodzi do przekonania, że waleczność i sprawność żołnierzy nie zależy od ilości wypitego wina i absyntu.

Niezliczone korespondencje z pola walki coraz nowych dostarczają nam dowodów tej prawdy, że karność i dzielność bojowa idą w parze z trzeźwością, a utyskiwania na zdziczenia wojska najczęściej zachodzą tam, gdzie żołnierzowi pozwalano pić, ile zechciał.

A i tu w kraju byliśmy świadkami, jak błogie owoce wydał zakaz sprzedaży napojów alkoholowych w pierwszych tygodniach mobilizacji.

Jeżeli wstrzemięźliwość od alkoholu była zawsze wskazana, to dziś jest ona dla naszego społeczeństwa wprost konieczną.

Nie wiemy bowiem, co nas jeszcze czeka, czy skutkiem wojny obecnej nie nastąpi głód i powszechne zubożenie ludu. — Wojna przeto sama nawołuje potężnym głosem do oszczędności, tj. do wstrzymywania się od wszelkich wydatków zbędnych i szkodliwych.

A na czemże więcej moglibyśmy oszczędzić, jeżeli nie na pić?

Dla podźwignięcia ziem polskich z rumowisk, będzie potrzeba niebawem dotąd ofiarności. Aby temu najprzedniejszemu zadaniu poddać, trzeba nam już dziś odmawiać sobie niejednego. Czyż Polakowi, miłującemu ojczyznę, miałoby wyrzeczenie się kieliszka i dymu tytoniowego sprawiać trud nie do przezwyciężenia?

Jeżeli dawniejsze nawoływania do trzeźwości w imię najpiękniejszych haseł mało znajdowały posłuchu, to wiemy, że wojna obecna przygotowała grunt dla tych idei lepiej, aniżeli długie lata pracy agitacyjnej.

Korzystajmy przeto z chwili dziejowej.

Mimo udręczeń wewnętrznych, jakie przeżywamy, pracujmy niestrudzenie nad odrodzeniem.

Szczęście bowiem i losy narodu nie zależą wyłącznie od położenia politycznego i granic zewnętrznych, lecz nadewszystko od wartości wewnętrznych.

„O ile powiększycie i polepszycie dusze wasze, o tyle polepszycie prawa wasze i powiększycie granice“.

(Mickiewicz).

Zarząd głównego Tow. Wyzwolenia.

Dr. Cantkowski, prezes

Ks. Bocian, sekretarz.

Związek księży abstynentów.

Ks. Niemołowski, prezes.

Ks. Gorgolewski, sekretarz.

SŁAWNE POLKI.

(Ciąg dalszy.)

Dwie te sławne kobiety, których profile zaledwo wychylają się z kart dziejowych, zasłoniła inna — trzecia żona Bolesława Chrobrego, Kunilda, córka Dobremira.

Panowanie Bolesława Chrobrego położenia kobiety co do stosunków obyczajowych prawie że nie zmienia. Sakrament małżeński nie jest całkowicie zrozumiany: wielożenstwa, porywanie kobiet gwałtem, uwodzenie, są, podług kronik, na porządku. Zamęt co do pojęć moralnych ten sam jeszcze, co i za Mieszka. Tem wybitniej na takim tle stosunków etycznych występuje charakter Kunildy, jej postać rzeczywiście świetlana.

Była to kobieta nieporównana, jako małżonka, matka i jako obywatelka. Demonicz-

ne wprost usposobienie Chrobrego umiała opanować w stopniu najwyższym przez łagodność, skromność, cierpliwość i miłość. Miała na Bolesława taki wpływ, że potrafiła powściągać jego gwałtowność, przed którą inni drżeli. Uzyskiwała od niego wszystko, nawet ulaskawienie dla skazanych na śmierć, dla których wypraszała nieraz łaskę u małżonka, żalującego często swej porywczowości.

Wielka pobożność łączyła ją jeszcze z cnotami, wyżej wymienionymi. Dobrodziejką biedaków była Kunilda, litościwą, niosącą zawsze ulgi cierpiącym.

Kochał też cały naród swoją królową, a Bolesław sam przez miłość i cześć dla niej pierworodnego jej syna wyznaczył na swego następcę.

Kunilda życiem swoim, pełnem pięknych chrześcijańskich czynów, niosła w swoje społeczeństwo światło, dawała wzniosły przykład stanowiącą kobiety. Cicha, skromna, pobożna, hojna na jałmużnach i dobrych uczynkach, otaczająca opieką winnych i obwinionych, wydzierająca z rąk męża ofiary jego gniewu gwałtownego, nie tylko była przykładem dla otoczenia najbliższego, ale na wieki całe dla wszystkich kobiet. Jej wpływom dobrotliwym zawdzięczały kobiety ówczesne bardzo wiele w swem życiu rodzinnem. Możliwejsi uczyli się, patrząc na Kunildę, szanować kobietę, kobiety miały w królowej wzór, jak postępować z mężem i panem.

Żony Mieszka II.

Kiedy na tronie polskim osiadł Mieszko II, niewiele niedoleżny, ile nieszczęśliwy, dla Polski nastąpiły czasy ciężkie. Korona Chrobrego, szeroko rozpostarta, ani wewnątrz, ani nazewnątrz silną nie była. Podbite narody przez Bolesława, a i sami Polanie nie byli silnie zespoleni jeszcze. W stosunkach wewnętrznych wytworzyły się dwa obozy: chrześcijański i pogański. Stronnictwo pierwsze wносиło do dzieł polskiej nowości ducha, tak pod względem społecznym, jak obyczajowym, z którym pogaństwo, ze względu na uciążliwe dla siebie warunki, wytworzone zależnością od państwa i Kościoła, pogodzić się odrazu nie mogło.

I państwo, i społeczeństwo, i Kościół ze swemi surowemi zasadami etycznymi — wszystko było dla ogółu ciężarem. Między rycerstwem a gminą, między przedstawicielami nowego i starego porządku nastąpił widoczny rozdział. Niechęć ogółu do rządu podsycało jeszcze to przekonanie, że wszelka nowość szła z Niemiec, znienawidzonych za krwawe, zaborcze dążenia. Ogół zaczął się obawiać zależności bezwzględnej od państwa Ottonów. Tym sposobem do powodów natury religijnej i społecznej przybył trzeci — polityczny. Gmin chciał przede wszystkim równości, nie chciał wyzwyc się pogańskiej przeszłości swej, rycerstwo, tworzące stronnictwo chrześcijańskie, było postępowe i już o cechach arystokratycznych.

Wiara, tradycja, obyczaj, prawo, urządzenia społeczne, przekonania rodzinne, plemienne i polityczne, stare i nowe, stały się groźnie naprzeciw siebie z postanowieniem walki i obrony. Plemiona podbite, Ruś i Niemcy podnosiły rokosze, przyczyniające jeszcze większego zamętu w Polsce ówczesnej. Życie Mieczysława II upływało wśród wojen, wśród intryg, wśród walk, podżegań, nieporozumień, wśród ciągłych ścierań się obozów, knoń, osiadłych na roli, samego rycerstwa, burzonego przez Bezbraimę, starszego brata, zrodzonego z Wegierki, Judyty.

(Ciąg dalszy nastąpi).